

Wioletta Wernerowska Dorota Paluszak

OSTANIA PIEŚŃ KALINY **(Legenda o powstaniu herbu Babimostu)**

- Po co zabrałaś ich z nami? Nie po to czekałem pół dnia przy płocie, żebym musiał łązić z całą czeredą.

- Sami chcieli. A tobie co to przeszkadza? – odparła z uśmiechem młoda dziewczyna. Jej jasne warkoczki powiewały na wietrze, a niebieskie oczy lśniły zalotnością. Była najładniejszą panną w całej wsi. I dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Bolek – syn zarządcy, wysoki, przystojny od dawna za nią chodził.

- Przeszkadza, przeszkadza – odparł chłopak – Hanka, Kasia i ten Gniewko.

- Zazdrosny? – spytała niby niewinnie.

- A mam o kogo? Syn partacza, byle co. Tylko włóczy się za tobą i oczy wypatruje.

- Prawda, że syn partacza, ale nierzadko sam pan starosta na zamek jego ojca woła. To koło u wozu trzeba naprawić, to o mur obronny zadbać. Ach, chciałabym zobaczyć komnaty zamkowe...

- rozmarzyła się Jagusia.

- Co tobie uroiło się w głowie? – oburzył się Bolek – Iście prawdziwa księżniczka! A chcesz na zamek, to najmij się do sprzątanía. Słyszałem, że praczki potrzebują. Tylko spiesz się, bo wdowa po bednarzu o posadę zabiega. Masz konkurencję nie lada, ona zdaje się bardziej robotna ...

- Gniewko! – zawołała rozłoszczona Jagusia. – Nazrywaj nam tych ślicznych kwiatów. Dziewczęta, uplecemy wianki! – zaproponowała. Nie dostrzegła pełnego zazdrości spojrzenia Kasi, rozkochanej na zabój w ciemnowłosym chłopcu. Wysługuje się jej we wszystkim. A śliczna Jagusia tylko zwodzi. Gniewko kwiatuszki do wianka, jabłuszko, bo zgłodniałam. Gwiazdkę z nieba by jej przyniósł...

- Jesień Jagódko, tak ładnych kwiatów jak ty nie znajdę -rzekł, ale zaraz pobiegł na leśną polanę, gdzie rosły wrzosi i stokrotki. Jagusia załała się rumieńcem, przyglądając się złośliwie Bolkowi, a nieszczęśliwa Kasi zagryzła wargi do krwi, by powstrzymać łzy.

Uplecione wianki zdobiły głowy trzech dziewcząt. Hanka trąkotała niczym przekupka. Buzia jej się nie zamykała, nawet kiedy jadła. Znała wszystkie plotki ze wsi, podobnie jak jej matula. Opowiadała a to, że Janowej urodziła się piąta córka, ku oburzeniu męża, który narzeka, że na posag nie starczy, a to, że mały Piotruś Kowalowej znów zachorował i nieszczęsna kobiecina do Baby po zioła musi się wybrać. Paplaninę Hanusi przerwała znudzona Jagna. Nie lubiła, gdy na nią nikt nie zwraca uwagi.

- Tatulo na targu kupił mi śliczne korale od zamorskich kupców. Sami mówili, że są tak modre jak moje oczy.

- Czyli niebieskie? – upewniła się Hania. Pokaż je, bo ja tylko z jarzębiny robię. Nie stać nas na zbytki, odkąd siostra rękę złamała i musiała odejść ze służby na zamku. Czasem pyszne ciasto przynosiła od pana starosty. Mówię wam słodziutkie, pulchne...

- To te korale! – przerwała zniecierpliwiona Jagusia – Prawda, że jak moje oczy? Ale tatulo zakazał ubierać na co dzień. Tylko w święta.

- To dziś jakie święto? Chwalipiętów? – spytała Kasia. Śliczna blondyneczka zignorowała złośliwość i dalej rozwodziła się nad pięknem koralu i swych oczu.

- Po kryjomu zabrałam z domu. Tatulo nic nie wie. A mi w nich przecież tak ładnie...

- Tobie we wszystkim ładnie – potwierdził zapatrzony w nią Gniewko.

- Chodźmy nad rzekę popatrzeć na zamek – zaproponowała Jagna.

*

Jesienne wody Leniwej Obry płynęły wartkim strumieniem nad stromą skarpią. Nad rzeką górował zamek starosty Babimostu – otoczony solidnym murem obronnym i palisadą. Z daleka dostrzegali nikłe światelka wieży i komnatowych okiennic, których nie zasłaniały wysokie drzewa.

- Popływałoby się – westchnął Gniewko, na chwilę zapominając o obecności Jagny. – Szkoda, że lato szybko się skończyło. Wpaść w nurt zimnej wody, z całych sił brnąć do brzegu, a potem położyć się na gorącym piasku i słuchać przyspieszonego bicia serca.

- Tu niebezpiecznie. Nawet rybacy niechętnie wybierają się na połów. Skarpa stroma, dno muliste i wiry – przypomniała Kasia.

- Co mi tam wiry. Pływam jak ryba.

- Jak węgorz czy piskorz? – zapytał z drwiną Bolek.

- Na pewno nie jak żaba – odparł Gniewko, a Jagusia zachichotała cicho i weszła na skarpię.

– Uważaj! Trawa śliska, a ziemia piaszczysta. Może się usunąć spod nóg – zaniepokoił się losem dziewczyny.

- Jaki troskliwy jak moja matula – rzekł opryskliwie Bolesław i poszedł za Jagną. Wkrótce wszyscy stali na wzniesieniu i wpatrywali się w nurt rzeki. Śliczna Jagódka wychyliła się odważnie, a Gniewko, nie zastanawiając się, co robi, chwycił dziewczynę za rękę. Wyrwała się z jego dłoni oburzona bezczelnością młodzieńca. Zachwiała się i niemal wpadła do wody. Chłopiec mocno ją szarpnął i przytrzymał za rękaw. Materiał wytrzymał, lecz sznur koralu spadł w szare odmęty.

- To przez ciebie bezmyślny głupcze! – krzyknęła przerażona Jagusia – Co ja powiem ojcu? Jak mu się na oczy pokażę?

- Kupię ci nowe, obiecuję... - odparł wystraszony chłopak. – Ważne, że żyjesz...

- Odkupisz? Syn partacza! Za co niby. Myślisz, że takie korale rosną na drzewach jak jarzębinowe Hanusi?

Gniewko poczerwieniał na twarzy. Zrzucił kurtkę i zaczął ściągać buty. – Znajdę je – wyszeptał przez zaciśnięte zęby.

- Co zrobisz? – dopytywał się Bolek – Utopisz się w mule idioto! Kompletnie odjęło mu rozum. Dziewczyna złotymi warkoczami wycierała łzy bezsilności z policzków.

- Oszalałeś! Utopisz się. Ona nie jest tego warta! Bezmyślnie, zapatrzona w siebie cielę- krzyczała zrozpaczona Kasia, usiłując powstrzymać Gniewka.

- Zostaw. Powiedziałem, że je znajdę. Młodzieniec wypowiedział te słowa pewnym siebie głosem. Nastąpiło milczenie. Nawet Jagusia przestała szlochać, ale nie zapomniała Kasi jej cierpkich słów. Chłopak przeżegnał się szybko i wskoczył.

- Jak nie wypłynie, to cię zabiję, przysięgam – powiedziała groźnie Kasia. A Jagna trochę inaczej popatrzyła na dobrze jej znaną koleżankę. Przedłużającej się ciszy nie wytrzymała Hanka.

- Trzeba mu pomóc! Albo wezwać kogoś. Czemu tak stoicie jak kołki? Jezu chłopak na pewno utonął!

- Przestań panikować! Co możemy zrobić? Uparł się jak osioł – przerwał krzyki Hanusi Bolek.

- Ja mu pomogę – rzekła Kasia łamiącym się głosem i zaczęła ostrożnie schodzić ze skarpy.

– Następna wariatka. Gniewko lepiej pływa od każdego z nas, tylko on miał jakieś szanse – zaprotestowała Hania i silnie przytrzymała ramię przyjaciółki. – Ja mu pomogę – upierała się Kasia.

Jagna stała jak wmurowana i nie potrafiła wycedzić słowa. Może wyrzuty sumienia jej nie pozwalały, a może strach przed ojcem.

*

Woda nie była tak zimna, jak się spodziewał, ale nurt silny. W głowie miał cały czas słowa jego Jagódki. Jego? „Bezmyślny głupiec”. Jest głupcem, idiotą... Najgorzej, że w ciemnych odmętach rzeki niewiele mógł zauważyć. Po omacku badał dno rękami. Śliskie kamienie. Dobrze, że nie ma węgorzy. Przez jakiś czas zmagął się z mrokiem i prądem. Chciał już zrezygnować. Płuca domagały się powietrza. Nagle dostrzegł coś lśniącego przy leżącym głazie. Na korale jednak to nie

wyglądało. Podpłynął bliżej. W mule tkwił złotawy, błyszczący przedmiot. Sięgnął po niego ręką i napotkał na opór. Nieco więcej wysiłku. I... Koścista objedzona doszczętnie dłoń wysunęła się z piasku, a za nią jej właściciel. Jak najbardziej martwy i też objedzony przez węgorze. Chłopak mimowolnie chciał krzyknąć. Woda dostała się do ust. Przerażony postanowił szybko wypłynąć na powierzchnię. Jak na złość jego nóg uczepliły się wodorosty. Silny prąd wyrwał go z ich objęć, razem z uwolnionym nieboszczykiem. Ależ miał towarzysza niedoli. Po chwili zmagania pomyślał, że nie zdąży. Wyczerpanie, woda w płucach, narastający strach. Tracił siły.

*

Długo kaszlał i wypluwał mulistą wodę. W głowie jeszcze się kręciło, ale powoli wracała przytomność i spokojny oddech. Żyje – pomyślał – Cud, dzięki Ci Boże. Nad nim pochylał się obcy mężczyzna. Nietutejszy, ubrany w barwiony na brązowo kubrak i skórzane spodnie. Czarne włosy miał związane w kucyk. Do pasa przytroczony nóż. Nieopodal dało się słyszeć parskanie konia.

- Wreszcie. Ratowanie twego życia do przyjemności nie należało. Opiłeś się wody jak kaczką. Masz. Obcy podał Gniewkowi metalową manierkę. Gdy chłopak wypił łyk, znowu się zakrztusił i zwymiotował.

- Już lepiej? – zagadnął mężczyzna - Gorzałka co prawda rozgrzewa, ale przydałby się ogień. Ryzykownie rozpalać ognisko. Ale cóż? Kilka dni nie jadłem ciepłego posiłku. Co się tak gapisz? W jukach przy koniu znajdziesz wełniany płaszcz. Pożycz sobie. Chłopak z trudem wstał i okrył się. Po chwili siedział przy ognisku. Nie mógł zebrać myśli.

- Gdzie trup, złoto... korale dla Jagódki? Kim jesteś? Muszę do domu ... do rodziców.

- Jaki trup? Zabiłeś kogoś? Groźny z siebie człowiek, chłopcze – zadrwił obcy -Tylko to trzymałeś w rękach, jak cię wyławiałem. Wskazał na leżący na ziemi złoty klucz. – Rozczaruję cię, żadnych koralu czy diamentów. Ogrzej się dobrze i wracaj do domu. Daleko to?

- Nie, nie wydaje mi się. Woda chyba niedaleko mnie zniosła. Kim jesteś panie?– spytał już bardziej przytomnie.

- Żadne panie. Ziemowit, zwany Czarnym.

- To od koloru włosów i czarnej brody?

- Ależ bystry dzieciak mi się trafił. Nie od wrednego charakteru – odparł mężczyzna z uśmiechem – Daleko do zamku starosty Babimostu?

- Niedaleko. Tam się wybierasz?

- Nie twoja sprawa. Od kilku dni kluczę przez wasze bagniste lasy. Trzy razy z drogi zawracałem, bo koń zapadał się po boki w grzęzawisku. A komary człowieka to żywcem zjedzą – narzekał.

- Nie jest tak źle panie, tylko szlak trzeba znać. Mogę pokazać. Życie mi uratowałeś....

- Wracaj lepiej do rodziców. Pewnie się martwią. Rano drogi sam poszukam.

- To ja wrócę rano. Podziękować chcę. Zaprowadzę do starosty – zapewniał Gniewko. Wstał i już chciał biec, gdy usłyszał:

- A mój płaszcz i twój skarb?

- Prawda – odparł zmieszany młodzieniec. Ściągnął niechętnie okrycie i zabrał z rąk obcego złoty klucz. Prawie o nim zapomniał.

- Jak cię zwą? – zawołał Ziemowit.

- Gniewko.

- Nikomu o mnie nie gadaj Gniewko! – usłyszał jeszcze z oddali.

*

Niebo pokrywały chmury. Prawie świtało, gdy chłopak po kryjomu wymykał się z domu. Na plecach niósł „lupy” z maminej spizarni, a złoty klucz powiesił na szyi pod koszulą. Oj nabierało mu się. Tata będzie pasy darł i posypywał solą. Nocny powrót do domu, przemoczone ubranie, kradzież zapasów i teraz... Zamiast pomagać, ucieka jak złodziej. Ponure rozmyślenia przerwał dziewczęcy krzyk:

- Gniewko! Kochany! Żyjesz! A ja całą noc płakałam... Młodzieniec wpadł w objęcia Kasi, z których nie potrafił się uwolnić. Gdy się udało, spytał:

- Co robisz na drodze tak wcześnie?

- Do rodziców twoich chciałam iść. Z Hanką. Bo pozostali to tchórze. A Jagna ...

- Nigdzie nie idźcie! Rodzice nic nie wiedzą. Pamiętaj! Ani słowa – zakazał surowo chłopak. A po chwili dokładnie przyjrzał się Kasi. Ładna buzia była czerwona, podobnie jak zażawione oczy. Jej usta lekko drżały gotowe znowu do płaczu. Zrobiło mu się jej szkoda. Przytulił delikatnie, by uspokoić.

- Posłuchaj Kasiu. Teraz się spieszę. Muszę komuś podziękować. Nikomu nic nie mówcie. Jak spotkasz tych tchórzy, powiedz im, że żyję i niech trzymają gęby na kłódki.

- Ale gdzie się spieszysz? Komu chcesz podziękować? Pójdę z tobą.

- No masz ci los. Bądź tu człowieku raz miły. Nigdzie nie pójdziesz. Wybij to sobie z głowy.

Pocałował Kasię w czoło i pobiegł w kierunku lasu, zostawiając oszołomione dziewczę z niezbyt mądrą miną.

*

Biegł wąską ścieżką, potykając się o gałęzie. Byłe zdążyć, nim obcy odjedzie. A rodzicom wynagodzi. Jak sprzeda klucze, tata kupi warsztat, narzędzia. A może najmie ludzi... odpocznie. Snując plany na przyszłość, rozglądał się uważnie, szukając miejsca swego ocalenia. Nagle usłyszał parskanie konia. Zdążył... Zwierzę chodziło stępą pośród drzew, ale bez jeźdźcy. Ziemowit porzuciłby wierzchowca i dobytek? Chłopak chwycił konia za uzdę i czujnie szedł przed siebie. Jakies sto kroków dalej usłyszał słaby głos.

- Znalazłeś Karego... Dzięki... Pomóż mi go dosiąść.

Mężczyzna leżał ukryty pośród krzewów. Brązowy kubrak plamiła krew. A w lewym ramieniu tkwił belt. Gniewko przypadł do Czarnego.

- Panie, ty krwawisz. Jesteś ranny!

- Mówiłem, że bystry chłopak- odparł cicho Ziemowit. – A teraz pomóż mi wejść na konia – zażądał.

- Ranę trzeba opatrzyć. Wykrwawisz się. Lekarza ... Albo lepiej do kapłanki – zastanawiał się Gniewko i podjął decyzję.

- Pomogę ci wejść na konia i zaprowadzę do pani Kaliny. Zna się na ziołach. Wielu ludziom życie uratowała, a później pojedziesz, gdzie chcesz.

Czarny chciał wstać, ale zachwiał się, podtrzymując na ramieniu młodzieńca.

– Tracę siły... Masz rację. Dużo krwi. Gdyby nie ognisko, ...nie znaleźliby. Tylko trzech..., ale głupiec siedział przy ogniu. Łatwy cel. Trzeba słuchać rad młokosa... Kapłanka, lekarz... Bez pomocy nie ostrzegę w porę....

- Jakich trzech? Kogo ostrzec? Starostę? – dopytywał się chłopak, ale mężczyzna tracił przytomność. Wrzucił na konia jak worek kartofli? Mogę mu zaszkodzić. A tych trzech? Może jeszcze tu są? Dobrze znane drzewa, bagniska, krzaki nagle stały się zasłoną skrywającą zbójców. Chłopak wyjął zza pasa rannego nóż. W pośpiechu budował z gałęzi nosze zdolne udźwignąć mężczyznę.

- Pomogę ci.

Serce podskoczyło Gniewkowi do gardła. Wypuścił z rąk nóż. No nie... Kaśka!

- Śledziłaś mnie wścibsko dziewczucho? Po coś tu przyszła? – głos mu drżał z oburzenia na widok bezczelnej dziewczyny.

- Śledziłam. Podśluchiwałam. A teraz ci pomogę. Odwróć się! – zażądała.

- Co? – chłopak nie mógł wyjść ze zdumienia, ale spełnił bezsensowne życzenie. Kasia szybkim ruchem ściągnęła z siebie kubraczek i lnianą koszulę. Założyła kurtkę, a jasną tkaninę delikatnie przycisnęła do rany mężczyzny. Gniewko stał nieporuszony.

- Co tak stoisz? Musiałam choć trochę zatamować krew. Kończ szybciej nosze. Koszula na długo nie starczy. Ty prowadzisz konia, a ja zadbam, żeby nie spadł. Musimy się spieszyć.

- My? – zaprotestował słabo chłopak.

*

W zamkowej sali na kominku płonął ogień. Starosta westchnął kolejny raz i patrzył nierozumiejącym wzrokiem na wyblakły dokument. Długie, przetykane siwizną włosy podtrzymywała miedziana obręcz, a na zdobionym haftem kaftanie wyróżniał się złoty łańcuch, który nieraz ciążył władcyce.

- Niczego nie rozumiem panie rycerzu – odezwał się w końcu.

- Bo dokument po łacinie spisany, stary, nie wszystkie litery czytelne – odparł zagadnięty.

- Jak po łacinie, to może po księdza posłać? Szybko się w tym rozczyta.

Na twarzy Otta pojawił się pobłażliwy uśmiech. Polscy panowie – ograniczeni, bez wykształcenia, posłuchu i wyobraźni. I to im władać tymi ziemiami? Nie dzieląc się przemyśleniami, zaprotestował.

- Żadnego księdza panie starosto. Trzeba zachować wszystko w sekrecie – starając się nie tracić cierpliwości, kontynuował – Tłumaczyłem już, że w zapisie jest mowa o złotym kluczu, który dawnymi czasy przywieźli pogańscy kupcy szukający jantaru. Z nieznanym mi przyczyn podarowali skarb tutejszym kapłonom, jako ofiarę ich bogini. Przybyłem do ciebie z misją krzewienia prawdziwej wiary. Żeby to uczynić, najpierw musimy wypłenić pogańskie zabobony. Jeśli trzeba, żelazem i stalą...

- Hola, hola, panie Otto! – przerwał starosta - Wiem, że jesteś rycerzem zakonnym i w regule przyrzekacie walkę za wiarę. Ale tu ognia i stali nikomu nie trzeba. Prości ludzie po ziola do znachorki chodzą. Ot i całe pogaństwo. Kobieta nieszkodliwa, a często pomocna.

- Nieszkodliwa? Wśród ludu plugawą wiarę szerzy w Panią Urodzaju. Prostaczkowie chętniej do niej chodzą niż do kościoła – zaprotestował rycerz.

- Nie unosz się panie Otto. Medyka w grodzie mamy nietęgiego. Na nauki muszę go wysłać. A ksiądz dobrodziej wrota świątyni zamyka. Nie wiedzieć czemu. Ale ma to objaśnić.

- Złoty klucz panie otwiera każde wrota, drzwi, kłódki, szkatułki. Może zapewnić nie tylko bogactwo, ale i cenniejsze od złota informacje. Władzę mości starosto. A ta władza jest w rękach plugawej kapłanki – przekonywał zakonnik.

- Nie słyszałem, żeby Kalina opływała w zbytki – upierał się władca.

- Jej władza i bogactwo niepotrzebne, ale tobie panie? Ile dobrego mógłbyś uczynić dla poddanych? Jak o gród zadbać? Rzemiosło, handel...

Ten argument przemówił do wyobraźni starosty. Zamożny gród, straż na szlakach handlowych, nowe warsztaty... Dzięki małemu kluczykowi. Brednie... Z drugiej strony kusząca perspektywa. Ale ma być złodziejem, intrygantem?

Ryba połknęła haczyk - pomyślał Otto. Zakonnik już miał opuścić komnatę, gdy usłyszał podchwytliwe pytanie:

- A gdzież to wczoraj wyjeżdżali twoi ludzie? Chyłkiem? W kapturach?

- Mości starosto masz czujne straż. Nic się przed nimi nie ukryje. Cóż... i po niespodziance. Z listami ich wysłałem... Pomyślałem, że w nowej świątyni brak relikwii. To wyprawilem ludzi do znajomego mnicha. Niczego nie obiecuję panie, ale może się uda...

Rycerz uklonił się nisko staroście. - Stary, podejrzliwy grzyb – mruknął pod nosem.

*

- Hans mieliście zadbać o dyskrecję. Wyjechać tak, by was nie dostrzegli.

- Nikt nas nie widział panie...- niepewnie odparł mężczyzna.

- Jak to nie widział? A straż? Może jeszcze śledziły? – zdenerwował się Otto – Przez waszą głupotę nici z moich planów, a stary prawie przekonany.

- Zgodził się porwać kapłankę? – spytał Hans.

- Jeszcze nie do końca. Ale wizja władzy i bogactw na pewno go przekona. Chyba nie bardzo się oburzy, jeśli odwiedzimy wyspę wiedźmy. Jak wasze sprawy? – dopytywał się zakonnik.

- Nie powinien nam przeszkodzić. Dureń wystawił się na strzał. Rozpalił ogień. Starczył jeden bełt relacjonował Hans.

- Nie żyje? Przeszukaliście go?

- No ...nie. Udało mu się wsiąść na konia. Ale z taką raną daleko nie zajedzie. Wokoło bagna. Resztę zrobią zwierzęta.

- Niczego nie potraficie porządnie zrobić. Bełt chociaż zatruty?

*

Kapłanka pochylała się nad rannym. Wyraz jej twarzy nie wróżył nic dobrego. Nosila już jesienne kolory. Nikt z mieszkańców wioski nie wiedział, ile naprawdę ma lat. Wiosną przypominała młodą dziewczynę, tylko orzechowe mądre oczy temu przeczyły. Teraz przyglądali się starszej kobiecie. Długie, rozpuszczone, brązowe włosy zdobiły kwiaty i wieniec z liści.

- Uważaj, poparzysz się, dopiero ściągnęłam z ognia. Mieszaj powoli! To nie kasza z gulaszem! – pouczała Kasię.

- Przeżyje? – spytał niecierpliwie Gniewko.

- Zobaczymy... Łaska bogini albo zdolności jej kapłanki. Za długo bełt tkwił w ciele. Krwi dużo stracił. I jeszcze gorączka.

- Przecież cudem ludzi uzdrawiasz. Ty pani jesteś ostatnią nadzieją – zaprotestował.

- Nadzieją? Cuda? Wiele sobie ludzie wyobrażają. Czarownica, wiedźma, co uroki rzuca... Jeden chłop myślał, że taki czar na niego rzucę, że każda... Ale to nie dla twoich uszu... Żegnać się niedługo muszę.

- Jak to żegnać? Z kim? – zdziwiła się Kasia, mieszając zioła.

- Moje siostry i bracia już dawno odeszli. Tylko ja zwlekam. Ale czas i na mnie.

- Nie rozumiem – odparł chłopak.

- Zrozumiesz wkrótce. Dobrzy z was ludzie ty, twój ojciec i ten uparciuch przy kotle, i nawet starosta. Tylko udaje dumnego, ale w głębi serca zależy mu na was ... Tęsknić będę. Ot co – rzekła Kalina i po chwili dodała - Mam dla ciebie prezent Gniewko. Wyciągnęła ze skórzanego woreczka sznur koralu. Modrych koralu.

- Jak? Skąd wiesz? – zdziwił się.

- Rzeka zabrała, rzeka oddała. Wystarczy porosić.

- To ciebie słucha? – spytała lekko przełknięta dziewczyna.

- Dość paplania o byle czym. Czas zająć się chorym. Niesmaczną strawę mu ugotowałaś.

Kapłanka podeszła do okrytego skórą Ziemowita i ostrożnie wlewała do ust parującą miksturę. Czarny ocknął się i wypluł pierwszy łyk.

- Jak dziecko. Nie smakuje taka nalewka? Gorzałka lepsza? Ano trochę musisz pocierpieć – mówiła jakby do siebie - Dzielny chłopiec. Wypił wszystko. A teraz obejrzymy ranę. Ropieje... Przynieś Kasię z chaty brązowy słoiczek. Trzeci od lewej na najwyższej półce.

Pochyliła się nad Ziemowitem i szeptała mu coś do ucha. Potem stanęła przed imponującym, dębowym posągim, uniosła ręce i zaśpiewała: *Biały dzień, ptaków pieśń, źródła głos, ciemna noc, przynieś Pani dłoniom moc.*

Gniewko wstrzymał oddech. Słyszał wyraźne szemranie strumienia, a na ramionach kobiety przysiadły ptaki. Kruki, gawrony i ćwierkliwe wróble. Trwało to chwilę. Sylwetka kapłanki złała się w całość z wielkim posągim. A potem mgła przysłoniła wszystko. Z rozmarzenia wyrwał chłopca ostry głos.

- Nie zielony. Brązowy słoje! Myśl Kachna. Nie chcemy go otruć! Dziewczyna nie przyznałaby się nigdy, że zapatrzyła się w niezwykły obraz przez okno solidnie zbudowanej chaty, więc pomyliła lewą stronę z prawą.

Mały, uparty wróbel nadal tkwił tuż przy uchu kapłanki wplątany w brązowe włosy. Dopominał się o coś głośno.

- Łobuz – rzekła Kalina– Uciekaj szukać ziaren. Starannie smarowała ranę Czarnego, z którego piersi wyrwał się niechciany jęk bólu – Niejedną jak widzę masz bliznę. Mężczyzna z ciebie niczego sobie, ale zdaje się mieczowi przyrzekałeś, nie niewieście. Teraz sen. On ciebie uzdrowi.

- A wy dzieciaki wracajcie do domu. Nic tu po was. Ziemowit się wyśpi, odpocznie...

- Pani... - odezwał się Gniewko – Nie wiem, czy mówić mogę. Ale on do starosty się spieszył. Przestrzec chciał. Muszę przy nim zostać. Życie mi uratował. I tobie pani wdzięczny jestem. Za pomoc... korale.

- Mi się jeszcze odwdzięczysz. A jemu nie pomożesz. Ostrzec chciał?

Wróbla z ramienia Kaliny strącił ostrym dziobem kruk. Rozłożył smoliste skrzydła, wpatrując się intensywnie w orzechowe oczy.



Ilustracja – Bożena Wołek

- Głupia i głucha jestem! – odezwała się nagle – Obcy, źli ludzie zbliżają się do wyspy. Uciekajcie przez groblę!

- Jak obcy, to drogi nie znajdą – zauważyła Kasia – Nikt z naszych by wrogów tu nie sprowadził.

- Nie zawsze wiadomo, kto przyjaciel, kto wróg – odparła kapłanka.

*

- Wal mocniej kołatką Władysławie. Może księżulo chory.

Już od dobrej chwili starosta czekał ze strażą, aż solidne wrota się otworzą.

- Ręka boli panie. Ksiądz nie słyszy albo nie chce otworzyć – skarżył się Władysław.

- Jak to nie chce? Świątynię razem budowaliśmy. Ławy i święte obrazy ufundowałem. To nie jego własność. Dom Boży. Dla wiernych musi być otwarty. Spróbujmy od strony zakrystii – zaproponował władyka.

Mężczyźni udali się do małych drzwi od południowej strony. Znowu rozległo się natarczywe pukanie. Tym razem skrzywienie drewna oznajmiło, że ksiądz przyjmie nieproszonych gości. Drobny, siwy, niemłody już człowiek z ciężkim westchnieniem wpuścił ich do środka.

- Co z wami księżę? Chorzyście? Przed wiernymi wrota zamykacie? Przecież tak się nie godzi!
- Jakimi wiernymi? – odparł silnym głosem ksiądz – Poganie. Cześć bożkom oddają. Na wyspie modły wznoszą do Baby.
- A gdzie mają chodzić, jak kościół zamknięty? – rozłożył się władyka – Jakoś wcześniej znachorka wam nie przeszkadzała. Na zamek mieliście się stawić!
- Nie mogłem. Skarbu pilnować muszę! – odparł butnie duchowny.
- Patrzcie no. W skarby mi ziemia obrodziła. Gdzie się nie obrócisz bogactwa, a na mojej głowie to obręcz miedziana, nie złota. – uniósł się starosta.
- A żartuj sobie panie, żartuj. Drwij ze świętości. A ja kościół zamykać będę, dopóki pogańskie bóstwo zniszczone nie zostanie – upierał się ksiądz.
- No już dobrze – rzekł spokojniej starosta – Cóż za skarb?
- Tajemnica. Nikomu wyjawić nie mogę.
- Władysław! Zabieraj stąd ludzi! Muszę na osobności pogwarzyć z księdzem - poklepał duchownego po plecach – Mówcie księżę. Czego pilnujecie? Przecie ja strażę postawić mogę, by wam niczego nie skradziono.
- Ale obiecaj panie, że nikomu ani słowa. Ten rycerz zakonny, Otto, co u was w gościnie, cenny dar przekazał. Podróżował wiele. W Ziemi Świętej był. Z papieżem mówił. Odwdzięczyć się za waszą łaskę chciał, święte relikwie podarował... kawałek kości palca samego świętego Piotra.
- Relikwie mówisz... Dziwne. Przecież ludzi dopiero po nie posyłał.
- Nie wierzysz panie? Zaraz pokażę. Ksiądz wyszedł na chwilę z izby i wrócił z małą skrzyneczką. Przeżegnał się i ostrożnie otworzył. Na dnie leżała mała kostka, a pod nią pergamin.
- Dokument podpisany ręką papieża z jego pieczęcią, potwierdza autentyczność relikwii. Rycerz Otto musi jeszcze pozwolenstwo swego mistrza zyskać, by skarb pozostał u nas. A wtedy panie starosto ...
- rozmarzył się duchowny – może arcybiskup przyjedzie i pielgrzymi ... Tylko pogaństwo trzeba wypłenić! Zakonnik przyrzekł, że bożka zniszczy, a kapłankę przegna stąd na dobre, bo ludzi podburza przeciw nam.
- Przeciw nam? – zdziwił się władyka. Zamilkł na chwilę i dodał – A pamiętasz księżę chrzest Pawełka – synka Radochny.
- Pamiętam – uśmiechnął się duchowny – Krzychało dziecko w niebogłosey, a jak wodę polałem, to niby anioleczek uspokoił się.
- Nie byłoby Pawełka na świecie, gdyby nie pani Kalina – powiedział spokojnie starosta.
- Pani Kalina?
- Kapłanka pogańskiego bóstwa.

*

- Dobrze masz serce dziewczyno. Bóg ci wynagrodzi – rzekł zakonnik.
 - Ano jak wam panie człowiek zachorzał, to nikt lepiej nie pomoże jak kapłanka. Ludzie nawet się dziwią, że starosta medyka opłaca, bo on tylko krew puszcza i pijawki przystawia. Stolarz Kazimierz tak się zdenerwował, że chciał medykowi kości porachować, kiedy go z bólu zęba tak leczył, a Kazimierzowa to – rozbrzmiewała wesoła paplanina Hanki.
- Niemcy ostrożnie prowadzili konie przez zdradzieckie ścieżki ukryte między bagnami. Kurt miał już święcie dosyć udawania obłożnie chorego. Pół leżąc trzymał się grzywy wierzchowca, wydając przy tym jęki bólu, z których śmiał się ukradkiem Hans. Dotarli wreszcie do mostu sprytnie zasłoniętego gęstymi krzewami.
- Prymitywna budowla – zauważył rycerz – Utrzyma nas?

- Tylko tak wygląda. I trzy wozy by utrzymał. Nawet dym z ogniska już widać. Pewnie pani zioła warzy. A jakie smaczne owoce tam rosną. Może pozwoli się poczęstować – rozwodziła się Hania, ale zdziwiły ją następne słowa zakonnika.

- Hans, przejeżdż przez most. Sprawdź, co tam się dzieje. Tylko po cichu, dyskretnie.

- Dlaczego po cichu? – spytała.

Niemiec wrócił po chwili.

- Jest kobieta, chłopak, dziewczyna i chory mężczyzna pod skórą. Rozpoznałem konia. To ten człowiek, którego postrzeliliśmy.

- Czyli żyje? Naprawicie ten błąd!

- O matulu moja! Kogo wy chcecie zabić? – krzyknęła zdumiona Hanka – Ratunku! Ludzie zbóje! Otto wymierzył dziewczynie siarczasty policzek. Zamilkła, niezdolna wypowiedzieć słowa.

- Zamknij gębę smarkulo, jeśli ci życie miłe! – warknął Otto. - Jens! Zajmij się nią! – polecił. Niemiec przytrzymał wpół dziewczynę i dłonią zatkał jej usta. Hanusia ugryzła go boleśnie w rękę i wyrwała się z objęć. Gnała przez most jak wichur. Jens popędził za nią. Cudem ozdrowiały Kurt zszedł z konia i naciągnął kuszę. Powoli wymierzył... Hans chwycił jego ramię.

- Trafisz w Jensa – ostrzegł. Niemiec niechętnie odłożył broń.

Hanka gnała na złamanie karku, ale za krzewami poślizgnęła się na wilgotnych liściach. Dogoni mnie... Silne dłonie podniosły ją na nogi i usłyszała szept cudzoziemca:

- Nie po to się najmowałem, żeby dzieciaki zabijać. Uciekaj dziewczyno... Nie musiał powtarzać.

*

- Gniewko oddaj klucz! – zażądała Kalina – Kasia idź do chaty po kaganek, a prędko. Nie ma czasu do stracenia. Zdumiony chłopak posłusznie oddał złoty przedmiot kapłance.

- Pomóż przy chorym, sama nie dam rady. Trzeba go zbudzić. Powinien przetrzymać.

Ziemowit podtrzymywany przez Gniewka z trudem wstawał. Rozglądał się nieprzytomnie, jakby nikogo nie poznając.

- Musimy uciekać Czarny. Twój oprawcy nas znaleźli – wyjaśniła.

- Miecz kobieto! – zażądał.

- Pewnie! Jeszcze tarczę, buzdygan i topór – zadrwiła – Ledwo chodzisz. Chłopak ci pomoże.

- Jak uciekniemy? – spytała Kasia – Droga tylko jedna. – Przez groblę szybko się nie da. Z rannym?

- Mądrała. Zaufajcie mi. Jest jeszcze jedna droga. O Pani, oby się udało. Nigdy jej nie otwierałam – powiedziała tajemniczo.

Podeszła do posągu wyrzeźbionej Baby. Wspięła się na palce, by dosięgnąć rąk bogini. Wcisnęła w nie złoty klucz, przekręciła.

- Pani Urodzaju, proszę, nie dla siebie, mój czas minął, ale dla nich... Otwórz nam drogę. W brązowym porośniętym mchem posągu pojawiały się szczeliny. Poły sukni Baby utworzyły skrzydła. Drzwi się otworzyły.

- Wchodźcie – ucieszyła się kapłanka – Kasiu trzymaj wysoko kaganek. Uważaj na stopnie. – Gniewko podtrzymaj Ziemowita. Zaraz ci pomogę.

- Puść chłopcze. A Kary? Miecz, juki? Nie mogę tam wejść – zaprotestował Ziemowit.

- Co za uparty, głupi osioł! Wezmę miecz. W jukach tylko brudne gacie, to chyba nie będziesz tęsknić. Konia nie zabijaj. Cenny. Właz, bo w rzyć kopnę! – doradziła zyczliwie Kalina.

*

Końskie kopyta stukały na moście. Do jeźdźców przybiegł Jens.

- Gdzie dziewczyna? – warknął Otto.

- Uciekła panie – odparł.

- Cholerny idioto! Z dzieckiem nie umiesz sobie poradzić? Zapomnij o zapłacie!

- Ja panie ...chciałem wymówić służbę.

- Uciekają do posągu! – krzyknął Hans. Niemcy wjechali na polanę. Jeszcze unosił się dym z paleniska. W powietrzu czuli intensywną woń ziół.

- Jak to do posągu? – zdziwił się zakonnik – Wrót żadnych nie widać. Kurt użyj noża! Muszą być ślady w tym piekielnym bałwanie. Hans dokładnie obejrzał rzeźbienia.

- Lite drewno. Żadnej wyrwy, szczeliny...

-Idź do chaty wiedzmy po siekierę! – nakazał rycerz – Porąbimy plugastwo! Jens zajmij się jukami szpiega! Szukaj listu z pieczęcią.

Starannie poukładane słoiki, butelki, skrzyneczki na zioła – skarby Kaliny – leżały porozrzucone i rozbite na podłodze. Znad stropu wyleciały spłoszone ptaki, nawet stary, ślepy kocur umknął przed siejącym zniszczenie Hansem. W końcu cudzoziemiec znalazł, czego szukał. Z siekierą w dłoni wybiegł przed posąg.

- Twardy jak skała – rzekł zmęczony rąbaniną.

- Wiadomo, dąb – odparł Kurt – Daj, ja spróbuję.

Posąg dzielnie opierał się ciosom siekiery. Z góry na oprawców patrzyły martwe oczy Pani Urodzaju.

- Dosyć! – krzyknął rycerz – Wykurzimy ich ogniem albo spalimy razem z tym plugastwem.

Jednak ogień też niechętnie zajmował wilgotne, omszałe drewno. Nadpalona suknia Baby ledwo się tliła. Dym zasnuwał polanę, dlatego w porę nie dostrzegli zbliżających się jeźdźców.

- Pan starosta na zamek grzecznie prosi – odezwał się uprzejmie Władysław i lekko uśmiechnął pod wielkim wąsem.

Otto znieruchomiał. Przed nim stał niewielki, ale dobrze uzbrojony oddział straży. Mężczyźni trzymali w dłoniach napięte łuki.

- Wiesz, komu grozisz prostaku? Jestem rycerzem zakonnym i wypełniam swój obowiązek – rzekł dobitnie, a jego palce szukały rękojeści miecza.

- Nie radzę – uśmiechnął się jeszcze szerzej Władysław – Starosta na zamek prosi po dobroci. A ja prosty człowiek, jak rzekłeś panie, ale cierpliwości mam niewiele. – Włodzimierzu, zabierz rycerzowi to żelastwo, co mu ciąży u pasa.

- Parszywi poganie! Nie ośmielcie się! –krzyknął Otto.

- Ośmielimy, ośmielimy...

*

Kasi zaczęły drżeć ręce. Trzymała wysoko kaganek oświetlający mroczny i wilgotny korytarz. Jeszcze te pajęczyny. Dlaczego musi iść pierwsza?

- Gdzie tunel prowadzi? – spytał Ziemowit.

- Są trzy wyjścia. My idziemy do zamku. Tam się chciałeś dostać – odparła, podtrzymując rannego.

- Silna z ciebie kobieta – dziwił się Czarny.

- Teraz już słaba. Kiedyś nikt obcy nie pozwoliłby sobie na bezkarne wejście na wyspę. Bałby się gniewu Pani. Kiedyś ...- urwała te rozmyślenia – Gniewko! Jak klucz znalazłeś, nie było niczego przy nim na dnie?

- Klucz trzymał objedzony topielec ...

- O matko – szepnęła Kasia.

- Nic to – kontynuował chłopak – opilem się trochę wody.

- Może szczątki woda odda? – zastanawiała się Kalina – Muszę pogrzebać starca. To kapłan z dawnych czasów. Wypląnął, by ukryć klucz. Jak widać przypłacił to życiem.

- Dlaczego chciał go ukryć? – zainteresował się Czarny.

- Zbyt cenny, by mogli go posiadać ludzie. Otwiera wszystkie drzwi, zamki. Budzi chciwość i niezdrową ciekawość. Kapłani otrzymali złoty klucz od kupca z południa z wdzięczności za wyleczenie. Strzegli skarbu, aż w końcu było ich niewielu. Postanowili ukryć. Wiem, wiem co myślisz Czarny. Przydałby ci się w twoim fachu. Ale należy do Gniewka.

- Chciałem go sprzedać i kupić ojcu warsztat, narzędzia ... Nie wiedziałem, że niezwykle....

- Jak sprzedajesz, to kupuję – rzekł Ziemowit.
- Jesteś złodziejem? – zaciekawiała się Kasia.
- Złodziejem, intrygantem i zabójcą – odparła za niego kapłanka.
- I ma wredny charakter – dodał rozbawiony chłopak.

*

- Łotr! Judasz! Wilk w owczej skórze! – uniósł się gniewem ksiądz na widok wprowadzanego Otta.
- Trzymaj na krótszej smyczy swoje psy – rzekł pogardliwie rycerz do starosty.
- Ja pies ... Ty kłamiwy opryszk! – trząsał się ze złości duchowny.
- Nie o tobie mówiłem ojczulku. O tych chłopach z widłami przed zamkiem – zamilkł, gdy dostrzegł Hanusię.
- Zabierz Świętochna dziewczynę do kuchni. I ciasta daj, skoro tak jej smakuje – rozkazał starosta i zwrócił się do zakonnika:
- Ludzie słusznie wzburzeni, skoroście dziecko i kapłankę chcieli zabić. Ale u mnie samosądów nie ma, dlatego pod eskortą was przywieźli. Wdzięczny być powinniście, bo na widłach by roznieśli.
- Wdzięczny? Twoje strażę jak psa rycerza potraktowały. A ty panie uwierzyłeś w paplaninę smarkuli? I ty księżę także? – w jego ostatnich słowach pojawiła się nuta udawanego żalu – Prawda. Jak zobaczyłem plugawą rzeźbę, zniszczyć chciałem. Kapłankę nastraszyć i przegnać. Chociaż w innych stronach na stosie więdźmy palą. Relikwie kościołowi przekazałem. I jaka nagroda mnie spotyka? Ksiądz na wzmiankę o relikwii zmieszał się i jakby zawstydył. Może niesłusznie dał wiarę słowom Hanusi. Więzień odważnie usiadł naprzeciw starosty. Władysław szarpnął Otta, ale władyka potrząsnął głową.
- A właśnie ... panie Otto – relikwie. Wspominałeś, że twoi ludzie dopiero po nie jadą?
- Jechali w zakonnych sprawach.
- Twoje słowa przeciw słowom Hanki. Wybacz panie, ale upewnić się muszę. Straż przesłucha Hansa, Kurta i Jensa. Oddzielnie. Wtedy zdecyduję o twoich losach – rzekł władyka.
- O moich losach decyduje mistrz zakonu!

Zza ściany dały się słyszeć chrobotania i skrzypienia. – Myszy? – zdziwił się starosta. Nagle rzeźbione drewno zaczęło się otwierać. Ksiądz wypuścił z rąk różaniec, a w tajemnym przejściu ukazała się ciemnowłosa kobieta o orzechowych oczach. Chwilę zdumienia wykorzystał więzień. Wyrwał broń Władysławowi i ruszył ku drzwiom. Oprzytomniawszy, starosta nadspodziewanie szybkim ruchem zdjął tarczę i dzielił Otta w głowę. Cios nie był silny, ale rycerz się zachwiał. Mimo utraty równowagi zamachnął się mieczem na władykę. Tego zasłoniła tarcza, a zakonnik poczuł na gardle stal.

- Ani drgnij – wyszeptał mu do ucha Ziemowit.

*

Starosta czytał poplamiony krwią dokument. Kalina siedziała przy kominku, a Gniewko wybierał pajęczyny z włosów Kasi.

- Jak powiedziałem panie starosto – kontynuował Ziemowit – Rycerz Otto został wykluczony z zakonu za kradzież relikwii i morderstwo. Na prośbę mistrza ksiądz kazał szukać przestępcy. Dowiedział się, że w waszym grodzie się ukrywa. Ostrzec was przed łotrem miałem.
- Ksiądz pisze, że straż zakonna po więźnia przyjedzie. To posiedzi trochę w naszych lochach. Usiądź człowieku, ranny jesteś. Zaraz medyka Nie, chyba poprosimy panią Kalinę.
- Teraz snu i wypoczynku mu trzeba. Nawet pijawki wytrzyma – odparła kapłanka – Rozmówić się musimy panie.
- Szkody ci wynagrodzę – przyrzekł władyka.
- Ja nie o tym starosto. O skarbie Gniewka.

*



Ilustracja – Bożena Wotek

- Więc Otto prawdę mówił o złotym kluczu?
- zdziwił się starosta. Chłopak położył na tarczy, która osłoniła władkę przed ciosem, błyszczący przedmiot.

- Podobny do kościelnego. Uparty księżulo zgodził się wreszcie klucz świątynny oddać, jak usłyszał, że relikwie zostać u nas mogą. To uznał, że wierni do szczątków świętego modlić się powinni, a nie pogańskiego bożka... Wybacz pani...

- Nie gniewam się. Mój czas się skończył. To wasz Bóg cud z drewnianymi balami uczynił, jak kościół budowali. Pamiętasz... na podmokłych terenach. Świątynia by nie przetrzymała. A On na właściwe miejsce przetoczył – powiedziała ze smutkiem i zapatrzyła się na dwa klucze leżące na tarczy. Na jej twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. *Biały dzień, ptaków...*

- Co pani uczyniłaś? – zdumiony starosta zerwał się na równe nogi – Jak teraz wrota kościoła otwierać będą? – przeżegnał się i patrzył wystraszonym wzrokiem na czerwoną tarczę ozdobioną przytwierdzonymi do niej dwoma złotymi kluczami.

- Otwarte będą – powiedziała pogodnie Kalina – Herb masz godny starosto – roześmiała się – Tylko za klucz Gniewka trzeba zapłacić.

*

- Nie lubię pożegnań – powiedziała Kalina – Ale zanim odejdę, powiedz Gniewko, co z Kasią? Czy Jagusią? Zwykła babska ciekawość – dodała.

Chata kapłanki zapadała się w grzęzawisku. Stała pusta i otwarta. Zniknęły jej skarby. Ptaki się wyniosły. Dębowy posąg Pani Urodzaju przypominał rozłożyste drzewo.

- Oddałeś korale? – spytała milczącego chłopca.

- Oddałem – odparł niechętnie – Musisz pani nas opuszczać?

- Ja was nie opuszczam Gniewko. Zawsze tu będę – rzekła, lasem, śpiewem ptaków... A tego co tu przygnało?

Na moście pojawił się Kary Ziemowita. Mężczyzna zsiadł z konia i ucałował zaskoczoną kapłankę.

- Widzę, że do zdrowia wróciłeś łotrze bezczelny. Masz, przyda ci się. Ostatni, jaki się uchował. Podala Czarnemu mały słoiczek.

- Dzięki. Bo klucz sprzątnęłaś mi sprzed nosa – odparł z uśmiechem.

- Gdzie teraz w drogę?

- Gdzie wiatr poniesie...

- Raczej książęce rozkazy ... - uśmiechnęła się – Za długo zwlekam. – Jednak Kasia Gniewko?

Kalina wyszła poza obręb polany ku rozlewiskom Leniwej Obry otaczającym jej wyspę. Uniosła wysoko ręce. Wiatr targał jej włosami i suknią. Ostatni raz zaśpiewała swoją pieśń. Nad głową kapłanki pokrzykiwały kruki. Zniknęła za unoszącą się mgłą.

- Szkoda – rzucił Czarny – Bywaj Gniewko!